



ZŁAM prawo

ŁUKASZ GOŁĘBIEWSKI

ZŁAM prawo



ZŁAM prawo

ŁUKASZ GOŁĘBIEWSKI

Jirafa Roja
Warszawa 2010

© Copyright by Łukasz Gołębiewski, 2010

© Copyright by Jirafa Roja, 2010

Redakcja i korekta: Sylwia Mroczek-Zawadzka

Projekt okładki: Agnieszka Herman

Łamanie: Tatsu  tatsu@tatsu.pl

ISBN 978-83-62948-19-2

www.xenna.com.pl

Wydanie I

Warszawa 2010



Ziszczone pragnienie jest drzewem życia
Prz 13, 12



Prawo ustanowione mnie brzydzi. Zawsze miałem tendencję do przechodzenia na czerwonym świetle, naruszania dozwolonych prędkości, sięgania po to, co zabronione. Taki jestem.

W porządku, wiem, że to spóźnione wyznanie buntu pewnie was ubawi, ale pozwólcie staremu anarchiście na kilka pompatycznych frazesów. Obiecuję, że dalej będzie to, co lubicie najbardziej, czyli jazda bez trzymanki, świntuszenie bez ograniczeń, zero autocenzury. *Live fast, die young; sex, drugs & rock'n'roll*, permanentny stan poza kontrolą. Prawo zaś pozostawmy prawnikom, a moralność księżom. Do jednych i drugich czuję awersję; to pewnie przez moją niechęć do łaciny, za młodu na pamięć kazano mi wkuwać Horacego. Ta późna spowiedź, choć opatrzona imperatywem w tytule, nie ma nic wspólnego z manifestem, nie jestem orędownikiem żadnej, choćby najbardziej wywrotowej, idei. Jeśli ktoś lubi się umartwiać, jego sprawa; ja nie. Słowo *adoracja* kojarzy mi się ze wszystkim, tylko nie z wielkim postem, sam *post* zaś, to jedynie spowodowana przesytem chwilowa abstynencja.

Łamanie prawa, to jednak coś więcej niż obchodzenie zakazów, więcej niż uniki, naciąganie przepisów, błędy w zeznaniach podatkowych. W łamaniu prawa widzę coś beczelnie

występnego, perwersyjną przyjemność, całkowitą świadomość niedozwolonego czynu. To niedozwolone właśnie kusi, wdzieczy się niczym loltka-kurwison z domowej roboty filmików porno dystrybuowanych w formie DivX i nielegalnie ściąganych z Internetu. Do zakazów nie tyle podchodzę z nieufnością, co z pasją niszczyciela. Z uczuciem sadystycznego zadowolenia, jakie towarzyszy dziecku, które właśnie zrobiło cyrklem dziury w oczodołach lalki lub ukłęciło plastikowemu żołnierzykowi głowę razem z hełmem. W tym uczuciu miesza się radość wolności niszczenia z poczuciem winy i lękiem przed karą. Być może na początku XIX wieku tak samo czuł się Ned Ludd, król destrukcji. Tę luddyczną ekspresję burzenia praw i porządku odnalazłem w punk rocku. *Well let's break the law here tonight* — śpiewał Anti Nowhere League. *We don't want your fucking law* — deklarował Conflict. Anarchistyczne marzenie o wolności i nihilistyczna pogarda dla prawem ustanowionej świętości. Chcę łamać prawo! Robię to z rozkoszą! Krzyczę o tym, by mnie lepiej usłyszano. Precz z tyranią zakazów, z zakodowanym w naszych cząsteczkach DNA genem tabu — zakazanego świata, którego cnoty strzeże oparta na samoograniczeniu się kulturowa tożsamość Europejczyka. Precz z cenzurą superego, czas uwolnić libido! Tak wiem, brzmi jak manifest onanisty, ale co poradzę, że moje libido domaga się prawa do wolności, chce hasać niczym nieskrępowane, obnosić się z lubieżną nagością, wystawiać język i ponętnie zakręcać jego koniec, mrugać zalotnie okiem, głęboko w nozdrza wciągać zapachy rozkoszy.

Rozkosz — oto do czego dążymy, choćby jej cena miała być wysoka. Seksualność i perwersja towarzyszą naszym pierwszym kontaktom z zewnętrznym światem, niemalże chłoniemy je wraz ze słonecznym światłem. Seksualna jest

matczyna pierś, o którą od początku trzeba rywalizować z ojcem, perwersyjne jest ssanie, sadystyczne wbijanie ząbków w cienką, delikatną matczyną skórę. W obawie przed karą zabijamy w sobie pokusę nieskrępowanej erotycznej zabawy, ale potrzeba przyjemności wciąż ścierać się będzie z nakazem przyzwoitości. Aż przychodzi dzień, w którym przeważa pewność, że nie warto być przyzwoitym, dzień inicjacji, dzień przejścia granic świata grzechu. Może to być nieśmiały krok, zaledwie zerknięcie w tajemniczą piekielną czelusć pociągającą namiętными odgłosami, jękami i sapaniem potępionych, ale można posuwać się dalej i dalej, krok za krokiem pokonywać kolejne kręgi, zaznawać niekończącej się męki rozkoszy, na jaką skazane są rozpustne dusze. Przyznam, że sam zwaibiony jękiem poszedłem. Zstąpiłem tam, dokąd prowadziła mnie ciekawość. Już po kilku krokach wiedziałem, że się cofnę, stałem zafascynowany, patrząc na dantejskie sceny wiążących się ciał. Nie odstraszyły mnie pożądliwe gardła rozpalane alkoholem, płuca niszczone narkotykowym dymem, ból zmieszany z rozkoszą, ślina z krwią, sperma z kałem, piękno z najgorszą ohydą, potrzeba zdobywania z uległością, brutalność z poniżeniem, dziewicza ciekawość zderzona z cyniczną lubieżnością. Tam chciałem być. Patrzeć na oddanie w lęku, w sekrecie, w poczuciu zdrady lub z niewinną namiętnością. Widzieć sceny miłosne i sceny przepelnione nienawiścią, ale wszystkie jednakowo występne, grzeszne, gdyż stawiające przyjemność ponad przyzwoitością. Co tam zresztą widzieć, chciałem w tym uczestniczyć z całym zaangażowaniem! A chcieć to budzić w sobie чуć. Najgorszym, czego można doświadczyć, jest smutna chwila braku woli, która przychodzi z przesytem. Wiem o tym aż za dobrze, gdyż — niestety — zdarzały mi się też takie chwile, gdy w panice szukałem

gdzieś w sobie pożądania. Boję się, że tym jest starość — okresem panicznej tęsknoty za pożądaniem, która już w nas wygasa, okresem, w którym fałszywie podmieniamy fizyczną rozkosz na bardziej umiarkowane formy przyjemności. Potem zapewne przychodzi wyciszenie, ale ja nie chcę wyciszenia, wciąż chcę krzyczeć i wołać, wolę czuć najstraszliwsze lęki niż grzecznie się wycofać. Samo słowo „grzecznie” mnie brzydzi. A wycofywać się nie zwykłem.

Poznaniu rzecz jasna niejednokrotnie towarzyszy lęk, gdyż prawda będąca następstwem występku nie zawsze jest przyjemna. Jako osoba uznająca przyjemność za najwyższe dobro, a unikanie cierpienia i bólu za warunek osiągnięcia szczęścia, staram się rzeczy nieprzyjemnych w ogóle nie dostrzegać, a jeśli już muszę w nich uczestniczyć, jak najszybciej usiłuję zapomnieć. Interesuje mnie tylko to, co służy zaspokajaniu potrzeb, resztę — o ile to możliwe — omijam szerokim łukiem, zbywam pogardliwym milczeniem.

Ale może się przedstawię. Mam na imię Krzysztof i nieubłagane zbliżam się do czterdziestki, choć niechętnie się do tego przyznaję. Było w moim życiu kilka istotnych romanсів, ale nigdy się nie ożeniłem, chyba za bardzo cenię sobie spokojne chwile samotności, a może zwyczajnie nie miałem szczęścia w doborze partnerek. Udało mi się u progu polskiego kapitalizmu zarobić trochę nie całkiem legalnych pieniędzy — najpierw spekulując akcjami na giełdzie, potem pośrednicząc w wyprzedawaniu państwowego majątku. Państwowe zawsze mnie brzydziło, tak samo jak prywatne, własność to więzienie. Pomimo nieco anarchistycznych poglądów pieniądze chętnie wydaję, zaspokajając hedonistyczne zachcianki. Bunt nie całkiem mi się ustatecznił, z niejakim uporem staram się zachować w sobie świeżość dziecięcych pragnień. Bo

tylko w nich jest seksualna soczystość i rozkosz. Poza buntem, niczym krzyż Pański, niosę w sobie mściwą i nieaspokojoną potrzebę osobiwie pojmovanej sprawiedliwości. Jest w tym tylko pozorna sprzeczność, mam własne moralne prawo, a więc i moja sprawiedliwość nie ma nic wspólnego z wymiarem sprawiedliwości. Niczego nie chcę wymierzać, zwyczajnie pragnę, by świat był bardziej sprawiedliwy, a jeśli nie świat, bo nie ogarniam świata, to chociaż najbliższe mi otoczenie. To, jak pociąg do namiętności, kolejna spuścizna lat minionych. Moje piętno. Jako dziecko byłem świadkiem tragicznej śmierci dwóch moich najlepszych przyjaciół. Niełatwo takie obrazy zapomnieć, choć podświadomość usłużnie zamazała tak wiele innych niemiłych zdarzeń. Śmierć tragiczna ma jednak tę jeszcze cechę, że trudno dla niej znaleźć uzasadnienie, zwłaszcza gdy przychodzi w młodym wieku. W głowie tętnią wówczas detektywistyczne pytania: dlaczego tak się stało?, dlaczego oni?, jaki mógł być inny przebieg zdarzeń?, wreszcie — kto ponosi za to winę? i co z tą cholerną sprawiedliwością? Brak sprawiedliwości to nowy powód do buntu — przeciw Bogu, prawu, policjantom, politykom; bo kto stworzył nam taki świat?

Oto świat, w którym muszę żyć
Oto świat, w którym nie chcę żyć
(Dezserter)

myślę, zbuntowany, słowami piosenki, ale wiem, że to nieprawda, że jednak chcę, bo przecież tyle pokus czeka każdego dnia, każdego pięknego dnia dopóki niesiesz w sobie młodość.

Dość gadania.

Carry on.

Część pierwsza

Alek i Arek

1. Niewinne igraszki



Kiedyś, za młodu, chciałem rozebrać swój mózg. Na pragnieniu w tym przypadku się kończyło, mama — jak na wiele innych rzeczy — z pewnością by nie pozwoliła, a ja nie miałem jeszcze dość w sobie energii by się przeciwstawić. Chciałem rozebrać na czynniki pierwsze, na nerwy, neurony i atomy, odrywać komórkę po komórce, jakbym zeskrobywał nożykiem korę z drzewa — aż do nagości. Nagi mózg..., czy coś by w ogóle z tego kłębowiska zostało? Jakiegokolwiek jądro? Za młodu wierzyłem, że wszystko ma jakieś nietykalne, niedostępne, obwarowane tabu, centrum. Teraz już nie wierzę.

Skoro mama nie pozwalała mi dotrzeć do sedna, liczyłem, że zrobią to inne kobiety, że poprowadzą mnie za rękę. I nie upierałem się przy mózgu, czułem jednak coraz gwałtowniejszą potrzebę rozbierania. W rozbieraniu jest zawarta dziecięca ciekawość świata, dzięki rozbieraniu poznajemy, wnikamy, zaspokajamy nasze nienasycone pragnienie wiedzy. Rozebrać, a potem spróbować ogarnąć wszystko na nowo, z innej wszak już perspektywy. Rozebrane staje się bliskie, rozebrane daje naszym dłoniom moc stwarzania. Jest w tym boski pierwiastek, tylko po rozebraniu, możemy tchnąć w istotę nowe życie.

Mój pierwszy kontakt z nagością był jednak daleki od sekretnych pragnień. Inicjacja osłupiałego dziesięciolatka, w garderobie mojej mamy, gdzie natknąłem się na zupełnie nagą i niezupełnie trzeźwą kobietę, której nigdy wcześniej w naszym domu nie widziałem. — Jestem ciocia Dorota — powiedziała i wzięła mnie za rękę, którą przytknęła do białej skóry nieco obwisłych piersi. Była tak chuda, że kości ramion niemal przebijały się przez cienką skórę. Piers była miękka i chłodna.

Patrzyłem na tę nagość z fascynacją i wstydem. Wstydziłem się swojej erekcji, której nie dało się nie zauważyć, choć w odróżnieniu od niej, ja stałem ubrany. Myślałem, że taka reakcja nie przystoi mężczyźnie, ale nic na nią nie mogłem poradzić. Dotykałem delikatnie jej skóry, ona przesunęła moją dłoń w dół, wzdłuż płaskiego brzucha, i mocno przyciskając, zatopiła ją w kępie jasnych włosów pomiędzy udami. Tam już nie była chłodna. Była gorąca i wilgotna. Patrzyła mi w oczy, a ja robiłem się coraz bardziej czerwony z zawstydzenia. Nagle odepchnęła od siebie moją rękę, wykonała dwa obroty, prezentując swoją nagość w pełnej krasie, po czym poprosiła, bym podał jej jedną z sukienek mamy. — Wpadłam coś pożyczyć na dzisiejsze przyjęcie — rzuciła lekko i roześmiała się. — No, idź już do swojego pokoju i nie mów o tym nikomu — dodała konfidencyjnie, widząc, że nadal stoję i patrzę zmieszany. Cioci Doroty nigdy później nie widziałem.

Ale marzyłem o niej zasypiając, o tym wilgotnym cieple, a w samotności nie wstydziłem się swoich reakcji na te zakazane myśli. Jej nagość wyzwalała większe żądze niż jakiegokolwiek moje wcześniejsze eksperymenty. Była bardziej pociągająca niż wyjmowanie trybików z zegara, niż moja

kolekcja małych wytrawionych płytek z układami scalonymi, nawet niż sekretnie konstruowane petardy karbidowe, które z kolegami wrzucaliśmy do ogniska. Onanizm, który odkryłem tamtej samotnej nocy, był być może pierwszym doświadczeniem zakazanej przyjemności. Z poczuciem winy wcierałem potem spernę w prześcieradło, czułem, że łamię nie tylko tabu, ale wchodzę na obszar niedozwolonej rozkoszy. Poczulem przyjemny smak wykroczenia.

Ciocia Dorota zniknęła, pozostał tylko niejasny obraz jej ciała w pamięci. Była roześmiana, chuda, energiczna i miała pewnie nie więcej niż trzydzieści lat. Nigdy nie miałem odwagi spytać, skąd się u nas wzięła i dlaczego tak nagle zniknęła.

Zniknęła jak ciocia Marta, która narysowała mi w pamiętniku słonia wraz z pisemną obietnicą, że więcej narysuje, jak się nauczy. Gdy rysowała, patrzyłem skupiony na prześwitujące przez jedwab letniej koszulki zaróżowione pełne piersi. Jakże inne od obwisłych piersi cioci Doroty. Te wyglądały jak dojrzały owoc, kusiły tajemniczym zagłębieniem pomiędzy dwiema napiętymi półkulami. Ciocia Marta jednak nigdy nie nauczyła się rysować niczego więcej prócz słonia.

Uwielbiałem zapach młodej przyjaciółki mojej babci, cioci Małgosi. Ona także chętnie ukazywała w szerokich dekoltach swoje oliwkowe piersi. Odkryłem, jak różna potrafi być kobieca skóra. Napięta lub lekko pofałdowana, matowa lub mieniąca się refleksami światła, blado-przezroczysta, różowa, miodowa, oliwkowa, złocista, orzechowa, może mieć barwy wiosny, lata, jesieni a nawet zimy. Może być pokryta piegami lub obnażać siateczkę delikatnych żyłek. A same kobiece piersi przybierały w mojej wyobraźni

kszałty nieznanych egzotycznych owoców, które delikatnie smakowałem koniuszkiem języka. Kobiety w wyobraźni były już nagie, a dawny rytuał rozbierania zmieniał się w tych fantazjach w coś na kształt obierania — obierania jędrnego owocu ze skórki, spod której zaraz może wytrysnąć ciepły i lepki sok. Wstydzilem się tych myśli.

Dzięki cioci Małgosi wkroczyłem też w świat zapachów. Odkryłem, że kobiety pachną na wiele sposobów — ciężko i zdecydowanie za słodko, jak pachniała mama czy babcia, lub orzeźwiająco i wiosennie, jak ciocia. Potem odkryłem też zapachy kwiatów i owoców na kobiecej skórze — od niewinnej woni rumianku po oszałamiający zapach wanilii, sandałowca lub jaśminu. W ich włosach wyczuwałem aromatyczną woń cytrusów lub słodycz aloesu. Miejscem skupiającym wszystkie te wspaniałe zapachy była jednak szyja. Patrzyłem na długą szyję cioci Małgosi i chciałem wtulić w nią twarz, chciałem ją całować, zlizać z niej każdą najmniejszą, niewidzialną drobinę. I choć się tego wstydziłem, niecierpliwie czekałem, kiedy znów przyjdzie i pocałuje mnie w obydwie policzki, zmierzwi włosy, co było namiastką narastających w wyobraźni zakazanych pieszczot.

Zasypiając, wsłuchiwałem się w odgłosy z sypialni rodziców. Intuicyjnie przeczuwałem, że dzieje się tam coś ważnego, coś ekscytującego, z czego zostałem wykluczony. Czułem złość, gdyż robili coś w tajemnicy przede mną, coś o co wstydziłem się zapytać przekonany, że niewłaściwym jest już samo nasłuchiwanie, a cóż dopiero rozmowa o tym. Poczucie wykluczenia podsycalo bunt. Nie reagowałem cichym wycofaniem się jak zapewne większość rówieśników, lecz wściekłą chęcią uczestnictwa.

Zakazy z natury swej mają charakter prewencyjny. Nie dotykaj, nie zbliżaj się, nie myśl. Mają utrzymywać z dala, bronić wstępu, nie dopuszczać, wykluczać. Aby się im podporządkować, trzeba być albo człowiekiem uległym, albo pozbawionym ciekawości. A mnie ciekawość rozsądzała. Była jak afrodyzjak. Zamknięty pokój, ciemności, odległe szept, skrzypnięcia sprężyn, podsłuchane jęki — nieznane rozpałało wyobraźnię, która celnie prowadziła mnie drogą ku seksualności.

Niewinne igraszki, wówczas jeszcze nienazwane, pozbawione etymologii, która pozwalałaby odkryć istotę, prawdziwy sens, jaki dziś — spisując te wspomnienia — nadaję uczuciom i sensualności. Ciche pragnienia i nieme zachwyty, skrywane pożądanie i wstyd. Migawki kobiecej nagości, ulotne, ledwie dostrzegalne, łowione ukradkiem na podglądanych przez szczelinę w drzwiach wieczornych filmach w telewizji, które były kolejną zakazaną, odgrodzoną od mojego świata, strefą. Kto wie, czy to nie te filmowe dotyki i pocałunki, te wystające spod kołder piersi, te okryte delikatnym tiulem uda, odgłosy cmoknięć dobiegające z odbiornika, czy nie one były pierwszą intuicyjną sztuką miłości, która pozwalała przenosić porwany świat obrazów w moją dziecięcą rzeczywistość? „Kocham cię” mówili na ekranie obcy ludzie, a to oznaczało, że każdy może kochać i każdego można obdarzać uczuciem, że miłość jest także poza domem, że jest uniwersalna, a więc i pospolita. Jak pospolite są te pozbawione zapachów telewizyjne obrazy, choćby nie wiem jak rozbudzały wyobraźnię, tak samo pospolite zdawały się odgrywane namiętności. Wcale mnie to nie zrażało! Przeciwnie. Skoro miłość jest na wyciągnięcie ręki, dlaczego mam jej nie

doświadczać, kto i dlaczego chce mi jej zabronić? Oczywiście, moje myśli o miłości odarte były z transcendencji, miłość oznaczała ciepło, zapach wanilii, było w niej coś delikatnego ale i wilgotnego. Bardzo wcześnie uznałem miłość za coś nieprzyzwoitego, za powszechną, masową zbrodnię przeciwko tabu. I tylko łamiąc zakazy, mogłem jej doświadczyć w nie skrepowanym wymiarze.

2. Glista



Na podwórko, pod trzepak przychodziła czasem mała zalękniona dziewczynka, wołaliśmy na nią Glista. Przewiśko niezbyt piękne, ale i Glista nie wyróżniała się urodą. Miała dwóch starszych braci bliźniaków i to chyba oni tak ją ochrztili, bo chuda i brzydka. — Glista, spadaj stąd, nie widzisz, że się bawimy? — odganiaли ją, kiedy smętnie patrzyła, tuląc w ramionach jakąś szmacianą lalkę czy brudnego pluszowego jamnika. — Glista, idź do mamy, nie strasz ludzi! — krzyczał jeden z braci, a drugi zanosił się krótkim urywanym śmiechem. Śmiał się tak samo chorośliwie ze wszystkiego, nawet z ojca, gdy ten pijany ganiał za nim, wymachując paskiem.

Moi koledzy z podwórka — Alek i Arek — byli ode mnie starsi o dwa lata, marzyli, że kiedyś zostaną kieszonkowcami, nikogo się nie bali i z każdym szukali zwady. Choć urodzili się jeden po drugim w odstępach dwudziestu minut, w ogóle nie byli do siebie podobni. Alek swój znośzony beret w szkocką kratkę zawadiacko przechylał na prawą stronę, a na bicepsach wyciął sobie żyłtką niezbyt głębokie, ale widoczne sznyty. Grubszy od brata Arek tracił łobuzerski urok przez za duże okulary, w których przypominał A'Tomka, bohatera popularnych komiksów Papcia

Chmiela. Miał za to własnoręcznie wydziergany stalówką tatuaż — pojedyncze granatowe kropki wbite jedna przy drugiej tworzyły obrys serca. Bliźniacy uczyli mnie, jak przetrwać w warunkach ekstremalnych, byłem dla nich niczym młodszy brat, na którym można wypróbować najbardziej szalone pomysły. Z dumą nosiłem na ramieniu wypalone rozgrzanym stopionym plastikiem piętno, ślad pozostawiony mi przez Arka na znak dojrzałości i braterstwa, które przypieczętowaliśmy, przecinając sobie nadgarstki i łącząc wspólną krew. Wybijaliśmy w szkole szyby w oknach, dewastowaliśmy przystanki autobusów, podpalaliśmy kosze na śmieci, bogatszym sąsiadom spuszczaaliśmy powietrze z opon, a w święta narodowe ściągaaliśmy wszystkie czerwone flagi w okolicy. Łamaliśmy prawo dla czystej przyjemności, nie szukaliśmy korzyści, w zupełności wystarczało poczucie satysfakcji. Czytaliśmy książki o partyzantach, takie jak „Leśna szkoła strzelca Kaktusa” czy „Wielka wojna z czarną flagą”, marząc o wysadzaniu w powietrze mostów i torów kolejowych. Chcieliśmy niszczyć. Mogliśmy zostać Talibami lub żołnierzami Czerwonych Brygad, gotowi byliśmy służyć każdej niszczycielskiej sile, całkowicie obojętni na ideologię, religię czy patriotyczne przywiązanie do ojczyzny. Wówczas rozumiałem, że destrukcja nie ma ojczyzny. Destrukcja jest niezależna od rasy czy wyznania, jest wolna niczym tornado, swobodnie przemieszcza się z niszczycielską siłą. Nie znęcaliśmy się na słabszych, nie licząc biednej Glisty, nie znęcaliśmy się na kotach, psach czy ptakach, bo wydawały się śmiesznie bezbronne. Naszym celem był mitologizowany system — w późniejszym okresie nazwany Babilonem — uosobiony przez szkołę, mienie społeczne, rzucające się w oczy bogac-